ROZMAITOŚCI.

Dnia 20. Maja Nr 20. Roku 1843.

ALFIERI.

(Dokończenie.)

Hrabia z radością powitał tak niespodziane wyjaśnienie. Wątpliwość jego zniknęła, dowiedział się, że jest wzajemnie kochanym. Teraz się za jednym razem wszystko istotnie odkryło: niespokój Markiezy na przybycie Marliana, jej bojaźliwa uległość woli jego i nagła zmiana ku hrabi.

»Zapominasz hrabio«, zarzucił Celini, »że temu Marliano a raczej baronowi de Rocca, przyrzekła jutro odjechać!«

»Co gadasz o odjeździe?« odparł Alfieri; »ona zostanie, ja tak chcę. Bogu dzięki, żem wynalazł przecie prawdę.... Teraz pan baron de Rocca, napotka kogoś, który będzie umiał być obrońcą prześladowanej kobiety.

»Zapominasz hrabio, żeś nie tknął się nigdy broni, a ten zuchwały człowiek, pewny jest swéj ręki?«

»Co mi na tém zależy!«

»Za nadto czujesz się w téj chwili szczęśliwym hrabio, abyś zdołał ocenić wartość życia; ale gdy padniesz, Markieza zupełnie bezbronna, musi uledz swemu prześladowcy.«

»Słusznie mówisz; ależ czy ja koniecznie bić się muszę, aby Markiezę od niego uwolnić? Nie dośćże na tém, wyjawić prawdę?«

»Ale ta prawda jest obrażającą dla barona; on cię wywoła, a ty hrabio bez narażenia się na nazwę tchórza, nie odmówisz mu zadośćuczynienia.«

»Niech i tak będzie, więc mu je dam.«

»On cię zabije, a dla Markiezy nic się nie zmieni. Widzisz hrabio, że kręcisz się w koło i zawsze wracasz do tego samego punktu.«

Alfieri uderzył nogą o ziemię.

»Jako, czy to podobna?« zawołał w gniewie, »mogłożby się już wszystko, jak za nieprzebitą tarczą skryć za osłoną punktu honoru? Czyliż dla tego, że jakiś tam szermierz zręcznie czyni bronią, ma on mi już prawo nakazać śmierć albo milczenie? A to dziwaczna sprawiedliwość! Jeżeli nie stanę, jeżeli się nie dam ubić nędznikowi, żem tchórz, tysiące głosów zawołają na mnie, a im większe imię moje, tém do większego tylko ma posłużyć rozgłoszenia mojéj niesławy? O, czemuż mnie nie uczono krwi przelewać, kiedy świat jest placem gladyjatorów! Cóż mi to pomoże czém jestem i co umię? Teraz oddałbym moje talenta, moję sławę, za lichą wprawność szermierską! Cóż mam począć? Jak sobie zaradzić!«

»Niegdyś ladajaki *bravo,* lada bandyta wybawiłby cię z kłopotu hrabio«, ozwał się Celini; »ale teraz tacy ludzie wyszli już z mody.«

Alfieri wstrząsnął głową i milczał. Razem przemówił cicho sam do siebie:

»Tak, tak, to muszę uczynić, to jedyny sposób.«

»Cóż zamierzasz hrabio?« zapytał młody mężczyzna.

»Dowiesz się dziś w wieczór«, odrzekł hrabia i odszedł.

Przez resztę dnia zajmował się uporządkowaniem swoich interesów i napisaniem testamentu. Przy takich przygotowaniach najmocniejsze serce przepełni się smutkiem. Każde życie ma dla siebie jakoś uśmiechającą się stronę, ma swoje lube i wesołe miejsce, na które myśli z tęsknotą biegną, a źrenica ze łzami się zwraca! Jakież obawy, jakie wątpliwości powstają z głębi serca! »Czy też zapłacze kto nad nami?« mówimy sami do siebie, »ujrzą-li ludzie próżnię zostawioną

przez śmierć naszę? Czy zadźwięczy po nas wspomnieniem jeszcze imię nasze?«

Alfieri zwracał myśli swoje w miejsca urodzenia, w owe góry, który były świadkami jego młodości; przypominał sobie z rozrzewnieniem piérwiastki swoich poezyjnych utworów i staréj kobiéty wróżbę, która teraz sprawdzić się miała. Przeglądnął swoje papiery, wyłączył wykończone prace, i smutnym wzrokiem spoglądał na te, które jeszcze przed światem nie złożyły świadectwa potęgi jenijuszu jego.

Ale czas upływał, z pośpiechem ułatwiał wszystko; napisał list do siostry, i myślami żegnał wszystko, cokolwiek mu było miłém, a potém zeszedł do salonu.

Celini był sam na sam z Marlianem.

Piérwszy trzymał w ręku dzieło Machiavela i na głos je chwalił.

»Nie jest mi znane«, rzekł zimno Marliano.

»Może sobie pan życzysz przeczytać?« zapytał młody mężczyzna, podając mu książkę.

»Ja nie czytam nigdy.«

Celini rzucił na niego wzrokiem zdziwienia. W owych czasach panował ruch umysłowy, tém się odznaczał początek dziewiętnastego wieku. Osobliwie u wyższéj szlachty weszło w modę zajmowanie się literaturą, a szlachcic nie czytający, zarówno musiał się wydać dziwakiem, jak ów pan znakomity za czasów rejencyi francuzkiéj, któryby nie miał kochanki. Hrabia Alfieri wszedł właśnie w téj chwili, i spostrzegł zadziwienie Celiniego i rzekł:

»Pan Marliano słusznie mówi; czegożby się znakomite osoby z książek nauczyć miały?« — Marliano spojrzał na niego, jakby dla przekonania się, czy Alfieri szydzi, ale w rysach hrabi taka była spokojność, że nie wiedział, co ma o tém myślić.

»Kiedy tak, to i ty panie hrabio, nie powinienbyś czytaniem psuć oczu«; ozwał się z uśmiéchem Celini.

»Ze mną ma się inaczéj«, rzekł Alfieri, »jam poeta, a zatém, zabawny urojeniec; te słowa: ojczyzna, wolność, biorę za rzecz prawdziwą; równość praw żądam dla wszystkich; marzę o takim świecie, gdzieby tylko zasługa była nagrodzoną a potęga spoczywała w ręku najgodniejszych... Ja to jestem głupcem, a ten pan mądrym człowiekiem.« — Alfieri wyrzekł przytoczone słowa z tak wielką spokojnością, że trudno było prawdziwy zamiar ich odgadnąć. Ironija była głęboko ukryta; dała się wprawdzie uczuć, ale nie dostrzedz. Byłoto tajemném wymierzeniem, które im pewniéj ugadza, tém trudniejszą czyni obronę, i do wyraźnéj odpowiedzi zmusza przeciwnika, przezco tenże staje się stroną zaczepną. Marliano umiał jednakże zachować spokojność. Wiedział on, że pojedynek wszystko popsuje i Markiezę do stanowczego kroku znaglić może, czego uniknąć życzył sobie nadewszystko. Odpowiedział więc z przytłumioną złością na mowę Alfierego.

»Pochwał pana hrabi, przyjąć nie mogę, zostawiam je ludziom, których filantropami i filozofami zowią, a których mądrość tak zręcznie świat przerabia, jak komedyję jaką.«

»Co mi tam pan mówisz o mądrych filantropach lub filozofach!« odrzekł Alfieri, »to niedorzeczne! To byłby wzgląd za wielki! Ci, którzy chcą oświecić ród ludzki—politowania godni!—co swych bliźnich jak siebie kochają—głupcy! Mądrzy i zręczni są ci, co miasto powstania na wszelkie nadużycia, z nich korzyść odnieść umią; ci to egoiści, którzy twardą nieczułość, rozumem zowią, którzy z cudzéj szkody radość czują, którzyby chętnie miasto podpalili, byle tylko sobie przy tém ręce ogrzać mogli — ci to żyć umią, tychto naśladować trzeba, i to nawet nie jest tak trudno. Czyż nie to sposób życia owych panów, zwanych *comme il faut*? Zrujnować wierzycieli, zniesławić jak najwięcéj kobiét, zabić w pojedynku kilku przyjaciół, to mi to czyn szlachetny, godny naśladowania!«

Podczas mowy Alfierego zdawał się Marliano coraz więcéj być oburzonym. Przy ostatnich słowach hrabi, jakby sobie stale przedsięwziął uniknąć sprzéczki, powstał i wziął swój kapelusz ze stolika, gdzie go był położył.

»Proszę mi darować«, rzekł Alfieri, udając, że się dorozumiewa przyczyny jego oddalenia, »może przeciw pańskiemu zdaniu mówiłem, coby mnie mocno bolało, jeżeli go tém do opuszczenia placu zmusiłem.«

Marliano rzucił znowu kapelusz na stolik i odpowiedział z gniewem i dumą:

»Moim zwyczajem jest placu dotrzymać.«

Alfieri ukłonił się z uśmiechem, i na chwilę wszyscy trzéj zamilkli. Celini był w wielkim kłopocie, bo nie wiedział do czego hrabia zmierza, a Genueńczyk starał się widocznie uniknąć wywołania. Przeszedł się po salonie, zbliżył do stolika, i niby bawił się powonieniem kilka rzadkich kwiatów, ale tamże ujrzał szkatułkę z pistoletami, którą Celini po ćwiczeniu się w strzélaniu do celu, był postawił; ten widok stał się dla niego błyskiem radości. Otworzył szkatułkę, wyjął jeden pistolet, oglądnął go i poszedł do okna.

»Czy kontent pan z tych pistoletów?« zapytał Celiniego.

»I bardzo. Mam ich z Cosimo.«

»Pozwól mi ich spróbować?«

»Bardzo chętnie.«

Marliano wyglądnął za okno.

»Jeżeli się nie mylę«, rzekł, »to na tamtéj kamelii, jest kwiat czerwony.«

Marliano strzelił.

»Ach!« wykrzyknął Celini z zadziwienia.

»Kwiat zestrzelony«, ozwał się spokojnie hrabia, siedzący po drugiéj stronie pokoju.

»Pan sobie żartujesz, ale to jednak prawdą«, rzekł Celini.

Hrabia się uśmiéchnął; odgadł, że Genueńczyk dał mu dowód swojéj zręczności, aby go zatrwożyć.

»Istotnie, *Signor* Marliano«, odpowiedział Celini, spoglądający ciągle na kameliją, »gdybyśmy kiedy mieli się zmierzyć, to pewnie pistoletów nie wybiorę.«

»A to dla czego?« zapytał Alfieri; »czy dla tego kwiatka?«

»Bynajmniéj; dla mego życia.«

»Kto wié? Nieraz się zdarza, że tak zadziwiająca zręczność, znika w chwili niebezpieczeństwa.«

Marliano zwrócił się ku hrabi.

»Nie mówię to bynajmniéj do pana, ale nie zawsze zniesie i najwprawniejszy duelista wzrok uczciwego człowieka, nieraz sumienie przyczyną, że ręka jego zadrzy. Niektórzy nawet chlubią się umyślnie swą zręcznością, aby uniknąć istotnéj walki, i dowodzą swojéj wprawy, aby nie dowieść męztwa.«

»Panie hrabio!« zawoła Marliano, przystępując żywo do Alfierego.

»Mówię raz jeszcze, że to się pana nie tyczé«, odrzekł spokojnie Alfieri.

»To zapewnienie jest niepotrzebne«, odpowiedział Marliano, a usta drgały mu od gniewu; »wiém, panie hrabio, żebyś się nie poważył tak mówić do mnie. Poeci są ostrożni; obrażają tylko ucinkami, i wyzywają oratorskiémi figurami. Dowieść im, że się ich podstępne zaczépki sprzykrzyły, to robią, jakby tego nie uważali; w nagłéj potrzebie udaliby nawet jaką słabość, i rzekliby chętnie: że nie mogą mieć szczęścia....«

»Pan tego także do mnie nie ściągasz, nie prawdaż?« zapytał się hrabia spokojnie i łagodnie.

»Jak się panu zdaje.«

»O zapewne, że nie«, odrzekł Alfieri, »bo pan Marliano wié to dobrze, iżbym go do odpowiedzialności pociągnął.«

»Któż panu w tém przeszkadza?«

»Uznajesz więc, że mam do tego prawo? że twoje obrażające wyrazy mnie się tyczyły? — żem ja obrażony?«

»Niech i tak będzie.«

Alfieri żywo przystąpił do Genueńczyka, uchwycił go za rękę i rzekł:

»Więc ja broń wybiéram.«

»Wszystko mi jedno.«

»Zobaczymy.«

Poszedł do stolika, wziął pistolety Celiniego, a powróciwszy do Marliana, rzekł:

»Wybiéraj!«

»Ale jeden nie jest nabitym.«

»Ale drugi jest.«

»Jakto? chcesz się pan bić w saméj rzeczy?«

»Jeden drugiemu oprze broń o piersi, a Bóg rozstrzygnie.«

»To niepodobna!« zawoła Marliano.

»Darujesz mi«, odparł Alfieri; »sam powiedziałeś mój panie, żem obrażony, że ja mam prawo wyznaczenia warunków; nie przyjmiesz pojedynku, świat cię podłym tchórzem okrzyczy. To, tak często ci pomagające punkt honoru, jest teraz przeciw tobie. Myślałeś mój panie, że jak tylu innych nieszczęsnych, stanę naprzeciw twojéj kuli, albo twojéj szpadzie, żebyś bez wszelkiego niebezpieczeństwa śmiejąc się mógł mnie jak ów kwiatek trupem położyć? ale panie baronie de Rocca, omyliłeś się bardzo.«

*

»Pan znasz moje imię?« spytał Genueńczyk.

»Znam, ale nie myśl, że się zrzeknę mojéj korzyści. Ja się nie biję, abym moję brawurę okazał; staję do walki dla uwolnienia Markiezy od twoich nienawistnych prześladowań; staję, aby cię ze świata zgładzić.«

»Nadzieja zawieść może«, odrzekł baron, którego zadziwienie w wściekłość przeszło.

»Wiém to dobrze, ale jak bądź rozstrzygnie się pojedynek, Bianka nie będzie się już obawiać twoich machinacyj; wszystkie środki ku temu przedsięwziąłem. Napisałem testament; jeźli padnę, przyczyna mojéj śmierci rozgłosi się po całych Włoszech, okupię krwią moją prawo: powiedzieć światu czém jesteś, a mnie uwierzą, bo umarli prawdę mówią. Opłakiwać mnie będą, bo po śmierci zawiść milknie. Nawet moi przeciwnicy będą głosić chwałę moję; zhańbione imię twoje przykuje cię jak do pręgierza, do sławy mojéj, a wieczna bezcześć wyciśnie na tobie piętno swoje, wszystek świat wzgardzi tobą, żeś mnie zamordował. Tym sposobem skruszę to jarzmo, pod którém Markieza uléga, opinija publiczna będzie dla niéj tarczą na twoje zbrodnicze zamiary; nikt już w téj obronie trupem nie padnie, bo zhańbione imię twoje da każdemu prawo odmówienia ci walki.«

»Dosyć! Dosyć już tego!« zawołał baron płonący z gniewu. »Jeden z nas zginie. Idźmy!«

»Idźmy.«

Obaj szli ku drzwiom, lecz Celini ich wstrzymał.—»Nie staniecie przecież do sprawy bez świadków, a tém bardziéj pod témi warunkami.«

»Tyś moim sekundantem«, rzekł Alfieri, »niech sobie i pan baron jakiego poszuka.«

»Idę.«

»Za godzinę oczekujemy pana barona przy źródle.«

»Jeszcze prędzéj tam będę.«

Celini i baron odeszli.

Alfieri sam został; powoli zaczęło go opuszczać uniesienie, z jakiém dotąd mówił i działał. Walka na śmierć lub życie, była umówiona; godzina jeszcze, a los, śmierć lub życie rozstrzygnie. Niepewność—okropna! Tych ostatnich chwil użył Alfieri do przeglądnienia swego życia i pomyślenia o Biance. Z opowiadania Celiniego mógł wnosić, że jest kochanym, ale czyliż ten niepewny błysk nadziei był dostatecznym teraz, gdy mu śmierć groziła? Może się przyjaciel omylił? Może wyraz obawy wziął za czuły udział? Czy Markieza z miłości alboli tylko z miłosierdzia chciała od niego oddalić niebezpieczeństwo? Ah, czemuż nie zdołał rozjaśnić téj wątpliwości! Przekonanie wzajemnego uczucia, byłoby go do téj ciężkiéj próby większą spokojnością natchnęło, a okropna uroczystość téj godziny, zniknęłaby z uradowania nad tą pewnością.

Takie myśli trapiły hrabię, gdy Markieza z książką w ręku weszła do sali. Spostrzegłszy go, stanęła, a twarz jéj pokrył rumieniec; zebrała jednak swoje przytomność umysłu, i wskazując na książkę, rzekła:

»Byłam przy panu.«

Alfieri poznał ostatni tom swoich poezyj.

»Twoje dzieła, panie hrabio«, mówiła daléj, »nie są gadaniną dla rozerwania nudów, są to przyjaciele, których myśli i uczucia podziélamy i rozłączyć się z niémi nie możemy.«

»Muszę więc zazdrościć pismom moim *Signora*.«

»Zazdrościć?«

»Nie inaczéj, gdyż to one są kochane, nie ja; nim kto mnie pozna, wyszukuje mię piérwéj z głębi pism moich, odgaduje mię przez poezyje moje i wyobraża sobie jako bohatéra, któremu słowa w usta kładę; gdy się nareszcie ukaże sam człowiek, który jest jak każdy inny, wtedy wszyscy się dziwią i oddalają od niego, a ubóstwiony bałwan spada z wysokości urojenia. Uważ się pani sama«, dodał; »poeta podoba ci się, ale nie człowiek; mówisz, że kochasz wiérsze moje, a unikasz osoby mojéj.«

Markieza chciała przemówić.

»Ah, nie wypiéraj się *Signora*«, wiódł daléj Alfieri; »unikasz mnie, a jednak zdajesz się pojmować myśli moje. Przez chwilę myślałem, żem wzruszył serce twoje; ah, jak drogą była mi wtenczas sława! Jak mię ta myśl uszczęśliwiała, że o niej z tobą mówić mogłem!.... Dla czegożeś mi tę błogą, tę niebiańską odebrała nadzieję?«

Markieza była głęboko wzruszoną, głos hrabiego przy téj prośbie był tak tkliwy,

jego wzrok tak pełen miłości, że się czuła ku niemu jakby jakiém czarodziejstwem pociągniętą, chciała odpowiedzieć, ale jéj usta słów kilka tylko bez związku wyjąknęły.

»Mów, zaklinam cię, mów!« rzekł hrabia ująwszy jéj rękę i do ust przyciskając, »zkąd to pomieszanie, te wyszukane obiegi? Wiész dobrze, że cię kocham; jeżeli ci ta miłość nie jest nieprzyjemną, dla czegoż obawiasz się wyznać mi prawdy? Dla czego odmawiasz mi tego szczęścia — może ostatniego, któreby mnie jeszcze rozradowało?«

»Co mówisz?«

»Któż zbada przeznaczenie i tajnie boskie! Czyż ci niewiadoma wróżba, która mi już w młodości los przeznaczyła?«

»Ah, nie wspominaj tego!«

»Gdyby się jednak sprawdzić miała, gdybym cię w téj chwili po raz ostatni widział...! Umierającemu niczego nie bronią; byłabyśże w stanie odmówić mi słowa, które mnie uszczęśliwić może?... Bianko... ty drzysz?... przez Boga! — jedno słówko! Bianko, jedno słówko — kochasz mię?«

»On się mię jeszcze o to pyta!« ledwie szepnęła, oczy jéj łzami się zalały, a twarz w ręku skryła.

Alfieri drżał cały z radości.

»Więc to prawda? Ona mię kocha. Niech za to będą dzięki Bogu! O, moja Bianko!«

»Ah! czemuż zmusiłeś mię do tego wyznania?« rzekła spłoniona, ach, gdybyś wiedział....«

»Nie chcę nic wiedzieć jak tylko to, że mnie kochasz; już mi więcéj ani lękać się ani płakać nie będziesz? Ty mnie kochasz... Niech się więc spełni przeznaczenie!«

Tu ozwał się zégar — godzina uderzyła; hrabia wstrząsnął się cały.

»Bianko, bywaj mi zdrowa«, zawołał z serca, przytuliwszy młodą kobiétę do piersi i wycisnąwszy na jéj ustach najtkliwszy pocałunek; »bywaj mi zdrowa!« — To mówiąc, wyrwał się z jéj objęcia i oddalił się spieszno. Markieza stała jak zmartwiała, oddana zupełnie uczuciu pierwszego wyznania miłości i ciemnéj obawy nieszczęścia, które ztąd wyniknąć miało.... Nagle wpadł jéj na myśl niespokój hrabi; zapytała w duszy, czemu się on tak pospiesznie oddalił; okropne przeczucie zawładało jéj myślą. Pobiegła do ogrodu. Alfierego nie było; pytała o Marlijaniego, nikt go nie widział; serce jéj biło gwałtownie, jakby chciało z trwogi piers rozerwać. Nie wiedząc nawet co czyni, wbiegła do pokoju hrabi — był pusty; wbiegła na balkon.... W téjże saméj chwili ozwał się w dali huk strzału; wydała krzyk okropny i zachwiawszy się, oparła o ścianę. Nie trwało chwili, ukazał się Celini i wołał głośno:

»Lékarza! Lékarza!«

Markiezie zdało się, że w gromie słyszy anioła śmierci, i że ziemia pod jéj nogami w okręg z nią bieży; wyciągnęła ramiona, aby się utrzymać, chciała oddalić się od okna, wtém dało się jéj słyszéć spieszne stąpanie po wschodach — drzwi pokoju z trzaskiem się rozwarły — a w progu stanął — Alfieri.

Chwilka w Karpatach.

Tu, gdzie groźne Karpat szczyty
 Gdzieś w uściskach tonąc chmur
Wznoszą skroń swą pod błękity,
 Tu rajskiego życia wzór!...

Tu w około rozkosz błyska
 Oko w miły wabiąc tan,
Czy na dzikie skał urwiska,
 Czy zielony spojrzesz łan!.....

Tu swobodnie myśl się wznosi
 Jak sokoła hyży lot,
Gdzieś do niebios wzlata osi
 I z chmurami idzie w splot!

Lub się nurzy w wód przestrzeni —
 Gdy ją zwabi szmeru dźwięk
Tam, gdzie stary Prut się pieni; —
 By żywiołów śledzić sprzęg!....

A choć gdzieś tam za morzami —
 Gdzie Papieżów lśni się tron,
Ziemia woni cyprysami,
 I bez pracy wschodzi plon,

Gdzie przy wiecznym blasku słońca
 Ptasząt melodyjny chór
Dźwięczy śród uciech bez końca —
 Jednak miléj tu — śród gór!

Bo grom — burza — to mi chory,
 Gdy hulają pośród drzew,
To mi swobód życia wzory,
 Szmer *Probiju**), to mi śpiew!

W kwietniu 1843. *F. Wal.......*

Filiżanka czekolady.

Na trzy dni przed koronacyją Napoleona na króla włoskiego, która dnia 26go maja 1805 r.

*) Tak u hucułów zwany wodospad Prutu.

nastąpić miała, otrzymał jeden z podkuchmistrzów Cesarza, młody Korsykanin, polecony kuchni cesarskiéj przez kardynała Fesch, słodki bilecik na różowym papiérze następującéj treści: »Pewna dama, która ci przyjemnéj chce udzielić wiadomości, oczekuje cię w nocy z uderzeniem jedynastéj przy bramie Marengo. Przybywaj, jeżli twego szczęścia pragniesz.« — Młody Włoch uradowany tak pochlebném mu wezwaniem stawi się o wyznaczonéj godzinie. — Bije jedynasta.

W téjże chwili wysuwają się dwie w czarne długie płaszcze owinięte postacie a jedna z nich kładzie mu zlekka rękę na ramieniu. Podkuchmistrz chociaż nieraz śmiało stał przed ogniem kuchennym, przecież mu na widok dwóch tajemniczych masek, zadrzały ze strachu kolana, a gdy go jedna z nich zapytała: »Czy on jest podkuchmistrzem Cesarza«, zaledwie drżącym głosem odpowiedzieć zdołał: »Ja nim jestem.«

W téjże chwili na znak dany piszczałką, zajechał powóz, w którym pan podkuchmistrz chcąc nie chcąc musiał zająć miejsce i dać sobie zawiązać oczy. Jechano w milczeniu prawie przez dwie godzin różnémi drogami; razem powóz nawrócił, wjechał bramą Marengo, i zatrzymał się na drugim końcu miasta przy małym domku na ustroni. Obie maski wysiadły oglądając się w około z ostrożnością. Potém wziąwszy swego jeńca pod ramiona, zaprowadziły go po wschodach do komnaty słabo oświetlonéj; tam zdjęto mu przepaskę z oczu. Maski się oddaliły, a nasz bohatér ujrzał się sam w pokoju, którego całe umeblowanie składało się ze stolika, na którym stał krucyfiks. Niebawem otwarły się drzwi poboczne, a niémi wszedł jakiś mężczyzna od stóp do głowy w czerni ubrany.

»Nie lękaj się mój przyjacielu«, rzecze nieznajomy, »że nie widzisz przed sobą kobiéty, jakiéś się spodziéwał. Użyłem umyślnie téj zdrady, aby cię dla moich zamiarów pozyskać. Bądź bez wszelkiéj obawy, włos ci z głowy nie spadnie. W tym oto puilaresie masz 500,000 liwrów, będą twojémi, jeżli mnie i mojéj ojczyźnie usłużysz.«

»Czegoż żądasz odemnie *Signore?*«

»Jeżli to uczynisz, czego od ciebie żądam, Włochy, Francyja i cała ludzkość będzie błogosławić twojéj pamięci.«

»Mów *Signore* wyraźniéj.«

»Przysięgnij mi na krzyż Zbawiciela, że ten oto proszek wsypiesz w czekoladę, którą Cesarz zwykle na śniadanie pija. Skoro złożysz tę przysięgę, te 500,000 liwrów będą twoją własnością. Jeżli zaś mimo twoję przysięgę nie dopełnisz twojéj powinności, nie ujdziesz mściwego sztyletu. A jeżli się będziesz wahał spełnić, czego żądam, nie wyjdziesz żywy za próg tego domu, a grób wraz z tobą ukryje tajemnicę, którąm ci powierzył. Wybiéraj więc, albo śmierć albo nagrodę. Radzę ci obrać ostatnią, a tak uwolnisz moję ojczyznę, Francyję i Europę od dumnego zdobywcy. Wiész o tém, że Napoleon za trzy dni włoży na swoje skronie skradzioną koronę włoską. W twojém ręku spoczywa los świata. Przystajeszże?«

»Jako? Ja mam Cesarza otruć? Nie jestżeto śmiertelnym grzéchem?«

»Ten grzéch na moję głowę spadnie. Ty jesteś tylko narzędziem mojém. Rozważ dobrze, jak świetna przyszłość otwiéra się przed tobą, mając pół milijona w angielskich papiérach, możesz swobodne i okazałe pędzić życie.«

»Niechże nareszcie i tak będzie«, przemówił podkuchmistrz po długiéj chwili namysłu.

»Weź oto twoję nagrodę i przysięgnij na ten krzyż Zbawiciela, że dopełnisz moich rozkazów«, rzekł nieznajomy, »a jeżli jutro o tym czasie Napoleon jeszcze żyć będzie, ten sztylet utkwi w twoich piersiach.« — Kucharz złożył przysięgę i wziął piéniądze.

Nieznajomy zadzwonił, obie maski się pojawiły, zawiązały podkuchmistrzowi oczy, i sprowadziwszy go po wschodach, wsadziły do powozu, a objechawszy z nim przez kilka godzin krętémi drogami, zatrzymały się przy bramie Marengo. Tam wysadziwszy więźnia z powozu, zerwały mu przepaskę z oczu, a same pognały w czwał ku miastu. — Podkuchmistrz tuląc w zanadrzu puilares z banknotami, pozbył się prędko skrupułów sumienia i postanowił wynieść się do Ameryki, i tam w dostatkach swobodne pędzić życie. Ani pomyślał o tém, że jego zbrodnicze zamiary Opatrzność zniweczyć może. — Przez noc całą nie zmrużył oka. Mało dwadzieścia razy odliczał drżącémi rękoma angielskie papiéry. »Przed dwoma godzinami«, pomyślał sobie, »byłem biédnym kucharzem, a teraz jestem panem pół milijona.« Czasami stawała mu na myśli okropność zbrodni, ale z dala groziła mu nieznajoma ręka ostrym sztyletem, i niweczyła wszelkie zgryzoty sumienia.

Napoleon był we wszystkiém bardzo punktualny, każdego poranku zwykł z uderzeniem dziewiątéj, pić czekoladę w towarzystwie swojéj Józefiny. Wtedy bywał zawsze wesołym, rozmownym i przyjacielskim. Tegoż poranku był obecnym jego pasierb Eugenijusz. Napoleon oparty plecyma o wystawę okna, rozmawiał z Józefiną i Eugenijuszem o przygotowaniach do koronacyi. Wtem wybiła dziewiąta, jeden z cesarskich paziów przynosi czekoladę. — Cesarz bierze filiżankę do ręki, a że czekolada była gorętszą niż

zwykle i wrzała kipiątkiem, przeto prowadząc rozmowę mieszał ją łyżeczką. A gdy chciał do ust przyłożyć dla próby, czy już wychłódła, w téjże chwili z firanki u okna spada w filiżankę coś czarnego. Józefina spostrzegłszy to, skrzyknęła przestraszona, a Napoleon spojrzawszy, ujrzał krzyżowego pająka w czekuladzie. W tejże chwili paź zapowiedział księcia Talleyranda. Cesarzowa udała się do swoich pokojów, a za nią Eugenijusz. — Gdy nietkniętą czekoladę odniesiono do kuchni, młody Korsykanin, oczekujący z bijącém sercem rozwiązania krwawéj zbrodni, ujrzał pływającego w filiżance pająka. Na ten widok dreszcz go przejęła, łzy żalu rzuciły mu się z oczu; widział w tym wypadku rękę boską, która czuwała nad życiem Cesarza. Zanosząc się od płaczu i załamując z rozpaczy ręce, postanowił zniszczyć krwawą nagrodę; przystąpił do ogniska, i w tejże chwili pół milijona poszło z dymem. Ciężkie westchnienie wydarło się z piersi rozpaczającego, uczynek ten ulżył mu na sumieniu, wziął do rąk filiżankę, a wyrzuciwszy pająka, wypił zatrutą czekoladę do szczętu. Okropne boleści rzuciły nim o ziemię, cierpliwie znosił najsroższe bole, a odrzuciwszy wszelką lekarską pomoc, i wezwawszy księdza do siebie, po krótkiej chwili skonał. — Jeszcze tego samego dnia dowiedział się Napoleon o zbrodni i o zgonie nieszczęśliwego podkuchmistrza. Czyjém zaś narzędziem była ta ofiara, do téj chwili nie wiadomo.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 20. i obejmuje: 1) O niektórych niekosztownych sposobach poprawy łąk. 2) Jakie trzeba mieć powody, aby system gospodarski zmienić i płodozmienny zaprowadzić? (Ciąg dalszy). 3) Co w czasach dawniejszych upowszechnianiu się poprawnych zawodów koni w kraju naszym sprzyjało, tudzież jakie pod tym względem obecnie nastręczają się uwagi? 4) Sposób czyszczenia oleju do lamp pokojowych. 5) O uzyskaniu i przysposobieniu dębnicy garbarskiej. (Ciąg dalszy). 6) Wiadomości czasowe.

Nakładem księgarni Franciszka Pillera i spółki wyszło z druku dziełko: *Robinson dla dzieci, albo najciekawsze wypadki Robinsona Kruzoe, opowiadane dzieciom przez ojca*, w 16. str. 51. Jestto przekład z francuzkiego, dokonany przez Fr. Kowalskiego (znanego tłumacza Moliera) i ozdobiony 8 ładnémi litografowanemi rycinami.

Z Warszawy. Wkrótce wyjdzie z druku dziełko: *Myśliwstwo krajowe.* W dziełku tem są zwięźle objęte wszelkie części naszego myśliwstwa, z tém wszystkiém co do wykształcenia się w téj umiejętności należy. —— Tamże wyszło nowe dzieło, pod tytułem: *Wykład praktyczny miernictwa i niwellacyi z wszelkiemi zastosowaniami do potrzeb gospodarzy wiejskich, tak pod względem urządzenia i podziału pól, jako też zaprowadzenia gospodarstwa leśnego, osuszania i zwilgotniania łąk i t. d., z przydaniem najprostszych obrachowań tyczących się leśnictwa, gorzelnictwa i gospodarstwa rolnego, oraz tabelli redukcyjnych miar i wag obcych na polskie,* przez Winc. Józefowicza, magistra filozofii, profes. geometryi stosowanej i miernictwa w Instytucie gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie. *(K. W.)*

Biblijoteka warszawska zawiera na miesiąc kwiecień następujące główne artykuły: 1) Powstanie w la Chiesa, wyjątek z pamiętników mojego ojca, podany przez Ad. A. Kosińskiego. 2) Myśli o statystyce, przez Wincentego Dawida. 3) Ustęp z poematu Lorda Bajrona. 4) Don Juan, z angielskiego przełożony, przez Barankiewicza. 5) O podatku gruntowym z dóbr ziemskich w Królestwie polskiém.

W Wrocławiu wyszedł z druku: *Nowy sekretarz powszechny, czyli: Książka podręczna dla osób każdego stanu, zawierająca wybór wzorowych listów we wszelkich stosunkach i okolicznościach potocznego życia, wybranych z dzieł najnowszych autorów,* przez M. Korzeniowskiego, nowa edycyja powiększona listami, z powinszowaniem dzieci do rodziców i krewnych po francuzku i po polsku przez X. Osińskiego.

Owsiński, artysta dramatyczny, zmarły we Lwowie, występując w roli Beverleja, w sztuce tegoż nazwiska z tak zadziwiającą prawdą oddał tę rolę, z taką wiernością umiał wystawić wszystkie przejścia i skutki zgubnéj namiętności gracza; jednem słowem, do tego stopnia umiał grę swoją w prawdę zamienić i złudzenia słuchaczy dokonać, że w chwili, kiedy z położenia sztuki wypadło wziąć go do więzienia, jeden z widzów przejęty i nieszczęściami jego i zapomniawszy zupełnie gdzie się znajdywał, zawołał z uniesieniem: »Puśćcie go moi panowie! ja za niego zapłacę! część znaczną należytości mam przy sobie, resztę wyliczę natychmiast w domu!« Możnaż żądać wymowniejszéj nad tę pochwały dla sztuki i talentu?! *(G. K.)*

Budżet francuzki. Pewien francuzki finansista obliczył, że gdyby od założenia Rzymu aż do dzisiaj wkładano co minuta 20 *sous* do kasy skarbowéj, suma ta jeszcze nie wynosiłaby tyle, co budżet francuzki na r. 1844. Od założenia Rzymu upłynęło 2596 lat, po 20 *sous* wkładając każdéj minuty, czyni na godzinę 60, na dzień 1,440, na miesiąc 43,200, na rok 518,400, na 2596 lat 1,345,766,400 franków, do sumy więc budżetowéj na r. 1844 wynoszącéj 1,404,513,710 frank. brakuje 58,747,310 franków.

Muzeum Napoleona w Londynie. Anglik Sainsbury, otworzył niedawno tamże muzeum odnoszące się do 150 lat z najnowszéj historyi, które dla wielu dokumentów z czasów Napoleona nazwał po jego imieniu. Zbiór tego Anglika, którym się przez 26 lat zajmował, zawiera 4,060 rękopisów z ważnemi papierami, dokumentami, listami, między témi są pisma: Oliviera Cromvella, Turenne, Ludwika X., XIV. i XVI., Maryi Antoniny, Mirabeau, Murata, Dantona, Robespierra, Fouquier, Tinville, Carrier i t. d. Prócz tego mieści to muzeum także około 500 rękopisów lub własną ręką Napoleona pisanych lub tylko podpisanych, oraz tegoż uwagi, zdania, rozkazy i przypiski, a to od r. 1793 po 1820, tudzież listy Józefa Bonapartego i Napoleona do rodziców i krewnych. Jest tam także zbiór autografów Ludwika XVIII., Foxa, Pitta, Nelsona, i wielu innych znakomitych mężów, jako też list od księcia Wellingtona do marszałka Neja. — Na szczególniejszą uwagę zasługują dwa listy Napoleona, jeden z dnia 1go marca 1796, w którym się Napoleon jako z włoskiego rodu pochodzący, Buonaparte podpisał, drugi zaś o cztéry godziny późniéj pisany, ma już podpis Bonaparte.

Tajakowie na wyspie Borneo. W pismie *Ausland* czytamy artykuł, w którym mieszkańcy téj wyspy są podzieleni na brunatnych, białych i łuską okrytych. Co autor Kögel o tych ostatnich pisze, jest prawie nie do wiary: Skóra ich jest okryta karpią łuską, która złazi, gdy się po niéj, szczególniej po twarzy, ręką pociągnie. Wielu pomiędzy nimi mają na 5 do 7 cali długie ogony, te nie są włosem porosłe zresztą są całkiem podobne do ogonów u nierogacizny; Tajakowie nie odcinają ogonów, jak to zwykli czynić mieszkańcy na wyspie Jawa, ale przykrywają je jak

Adam w raju, wielkiem liściem z drzewa lub obwiązują biodra łykiem na 1 1/2 stopy szérokiém, znaném pod imieniem: *Kulet kaiju.* Jeszcze w r. 1841, pisze tenże podróżny, udzieliłem wiadomości o ludziach z ogonami na wyspie Jawa. Wielu nie dawało wtenczas wiary, teraz mogę powtórnie zapewnić, że nietylko pomiędzy mieszkańcami na tejże wyspie, ale także pomiędzy Tajakami są ludzie mający ogony; w samem mieście Schabas, 10 do 15 mil od Pontianak, można 20 ludzi obojéj płci naliczyć z ogonami.

Dawniej a teraz. Ariosto zmieniał wprzód szesnaście razy każdą zwrotkę swojego dzieła, nim ją za dobrze napisaną uznał. Petrarka przerabiał jeden wiersz czterdzieści i cztery razy. Pozostałe rękopisy Rousseau świadczą, że on podobnie jak Ariosto i Petrarka swoje dzieła niezmordowanie poprawiał. Sławny Buffon sam wyznaje, że dzieło swoje: *Epoques de la Nature* 18 razy przerobił, nim je na świat wydał. A teraz płodność literacka niesie mokry jeszcze rękopis do drukarni. Teraz niejeden śmieje się z Horacego, który mawiał: *Nonum prematur in annum.*

Ceremonije ślubne u Chińczyków. Małżeństwa z przywiązania, które i u nas do rzadkiéj należą osobliwości, są nieznane Chińczykom. Wprawdzie i w naszéj oświeconéj Europie, szczególniéj w wyższych domach, jeszcze przy kolebce zawiérają się układy małżeńskie. Ale Chińczycy przewyższają nas w téj mierze. Nim jeszcze dziecko na świat przyjdzie, już umawiają się matki z sobą, dają sobie nawzajem rękojmię, i takiego układu nic zerwać nie może, wyjąwszy, że się po urodzeniu pokaże, iż narzeczeni są jednéj płci, albo że które z nich umrze. Również zrywa układy ten przypadek: że oblubienica lub oblubienicę trąd osypie, któryto choroba często się pomiędzy Chińczykami wydarza. Ale o doprowadzenie do skutku zawartych układów mało się troskają rodzice, tém się zajmują meklerze ślubni. Ta gałęź przemysłu jeszcze u nas w dziecięctwie, ale u Chińczyków trudnią się tą usługą równie mężczyźni jak i kobiety. Skoro między ajentami ślubnemi stanie umowa, i skoro się do niéj rodzice przychylą, wtedy się rozpoczynają ceremonije ślubne, które zależą na obopólnéj wymianie podarków. Ajent ślubny udaje się z trzema koszami do panny młodéj; w jednym, w warstwy są ułożone owoce i plastry, w drugim, świeża szynka, ważąca 12 funtów, a w trzecim, dość znaczna ilość rozmaitych ciast. Gdy już łoskot rakiet oznajmi przybycie swatów podarki niosących, panna młoda przyjmuje ich w progu pomieszkania czerwonémi świecami oświetlonego, odbiera podarki, i obdziela szynką wszystkich obecnych. Gdy się to dzieje, pan młody odbiéra podobnież w domu swoim podarki z owoców w szesnastu paczkach; prócz tego przyszła teszcza, przysyła mu w upominku szczególny specyjał: ziarnka z dyni, suszone na słońcu, jako symbol płodności. Tę małą drobnostkę musi narzeczony drogo opłacić, bo zwyczaj wymaga, aby pan młody teściowi swemu w oznakę odwzajemnienia się ofiarował podarek w pieniądzach, którąto sumę wynoszącą zwykle 250 do 500 franków, biorą na oznaczenie wartości panny młodéj i piérwej téjże nie wydadzą, aż dopokąd suma ta, złożoną nie zostanie. Po ukończeniu tych ceremonij, udają się ajenci do gwiazdarzy o wywróżenie pomyślnego dnia do ślubu. Na dniu oznaczonym zabiéra się panna młoda do toalety, wkłada na siebie ogromny kapelusz w kształcie kosza, który nietylko jéj głowę, ale całą jéj figurę aż po pas zakrywa. W tym pokrowcu wsiada do *palankinu*, ze wszystkich stron zasłoniętego, jestto bowiem jedną z głównych ceremonij, aby panna młoda nikogo nie widziała, ani też od nikogo widzianą nie była. Orszak otaczający zamkniętą narzeczonę, wydając żałośne jęki, posuwa się wolnym krokiem, a gdy się już zbliża do pomieszkania pana młodego, wybiega jeden z orszaku naprzód i woła z całego gardła, oznajmując przybycie panny młodéj: »Już się zbliża! Już się zbliża.« Na te słowa odzywają się trąbki, piszczałki i wszelka hałaśliwa muzyka, pękają rakiety, a pan młody chowa się do swojéj jak złodziéj komnaty. Ajenci ślubni szukają za nim po wszystkich kątach, a gdy go znajdą, pan młody wita ich obojętnie i z udaném podziwieniem, jak gdyby nie wiedział, o co rzecz idzie, ci biorą go pod ramiona i prowadzą do palankinu. Tam okazuje pan młody wielkie wzruszenie, drżącą ręką otwiera palankin, wysadza pannę młodę i prowadzi ją do stołu, gdzie naprzeciw niéj zajmuje miejsce. Po obiedzie—na którym się tylko pan młody sam uracza, gdyż panna młoda zakryta ogromnym kapeluszem, nic do ust wziąć nie może — prowadzi ją narzeczony do osobnéj sali. Tu dopiéro wolno mu zdjąć tajemniczy kapelusz, i spojrzeć w twarz téj, z którą ma swoje losy połączyć, a jakiekolwiek na nim sprawi wrażenie, musi je zamknąć w sobie i układną grzecznością pokryć zawiedzione częstokroć nadzieje. Po téj pierwszéj próbie, następuje druga daleko przykrzejsza, bo się dzieje bez wszelkiego pobłażania: wszyscy goście wchodzą do téj sali, gdzie panna młoda jakby na cenzurze siedzi, i dają o niéj swoje zdanie z największą otwartością. Biédna ofiara musi znosić wszystkie choćby najzjadliwsze pociski dowcipu z stoiczną obojętnością. Niejedna mężatka wywzajemniając się za odniesione rany na podobnéj cenzurze, siecze nielitościwie pannę młodę obmownym językiem. Ta ceremonija zapala ku niejednéj osobie nienawiść na przyszłość w sercu panny młodéj. Pomimo wesołéj muzyki i śmieszków, rozmaite łamańce wyprawiających, cały ten obchód uroczysty toczy się z zimną powagą. Pomiędzy wielą szczegółami ślubnéj uroczystości, również zabawną jest ta skrzętna, niemal bojaźliwa troskliwość, z jaką nowi małżonkowie szaty swoje kryją gdy je z siebie zdejmują, gościom albowiem wolno skraść je i zatrzymać do póty u siebie, dopóki małżonkowie téj ślubnéj kradzieży nie wykupią. Ale z drugiéj strony również i goście podlegają niemałemu podatkowi: za ofiarowaną w podarku drobnostkę muszą się odwzajemniać darem, który piérwszą w wartości o wiele przewyższa, na co jest ustanowiona niezmienna taryfa. Mimo te przykre uciążliwe obowiązki, każdy jednakże chętnie spieszy na ślubną uroczystość, bo zaproszenie na wesele należy do pierwszych względów. Nikt nie śmie być obecnym na tym obrzędzie, kto nie jest zaproszonym. Zaprosiny dzieją się biletami z czerwonego papiéru, którego jedna wielka ćwiartka tylekrotnie się załamuje, że się zdaje, iż tuzin listów razem złożono. Bilety te nie mają żadnego napisu. Obrzęd ślubny nie jest u Chińczyków ani religiją, ani ustawami uświęcony, jestto czysta spekulacyja, do któréj należą swatowie, krewni młodéj pary, państwo młodzi, i goście ślubni. Chińska kobiéta jest towarem, który na przedaż idzie; zaraz w piérwszym dniu po ślubie staje się niewolnicą męża i dźwiga opłakane życie, które często samobójstwem kończy. Tamto byłaby na swojem miejscu owa emancypacyja, o którą się nasze panie tak gorliwie upominają.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.